

# ***OSKAR I PANI RÓŻA***

Eric-Emmanuel Schmitt

przekład Barbara Grzegorzewska

tytuł oryginału  
**Oscar et la dame rose**

Dla Danielle Darrieux

Szanowny Panie Boże,

Na imię mi Oskar, mam dziesięć lat, podpaliłem psa, kota, mieszkanie (zdaje się nawet, że upiekłem złote rybki) i to jest pierwszy list, który do Ciebie wysyłam, bo jak dotąd, z powodu nauki, nie miałem czasu.

Uprzedzam Cię od razu: nienawidzę pisać. Muszę mieć naprawdę jakiś ważny powód. Bo pisanie to bzdura, odchyłka, bezsens, jajo. To lipa. W sam raz dla dorosłych.

Mam to udowodnić? Proszę, weź choćby początek mojego listu: „Na imię mi Oskar, mam dziesięć lat, podpaliłem psa, kota, mieszkanie (zdaje się nawet, że upiekłem złote rybki) i to jest pierwszy list, który do Ciebie wysyłam, bo jak dotąd, z powodu nauki, nie miałem czasu”. No więc równie dobrze mógłbym napisać: „Nazywają mnie Jajogłowym, wyglądam na siedem lat, mieszkam w szpitalu z powodu mojego raka i nigdy się do Ciebie nie odzywałem, bo nawet nie wierzę, że istniejesz”.

Tylko że jeśli tak napiszę, to dupa blada, w ogóle się mną nie zainteresujesz. A ja chcę, żebyś się zainteresował.

A najlepiej byłoby, gdybyś znalazł czas, żeby oddać mi dwie lub trzy przysługi. Wytlumaczę Ci, o co chodzi. Szpital to cholernie sympatyczne miejsce: pełno tu uśmiechniętych dorosłych, którzy głośno mówią, jest też mnóstwo zabawek i panie wolontariuszki, które chcą się bawić z dziećmi, i są koledzy, na których zawsze można liczyć, tacy jak Bekon, Einstein czy Pop Corn, jednym słowem, szpital to sama radość, jeżeli jest się mile widzianym pacjentem.

Ja przestałem być mile widziany. Od czasu przeszczepu szpiku czuję, że nie jestem mile widziany. Kiedy doktor Dusseldorf bada mnie rano, nie ma już do mnie serca, rozczarowuję go. Patrzy na mnie bez słowa, jakbym popełnił jakiś błąd. A przecież tak się starałem w czasie operacji. Byłem grzeczny, dałem się uśpić, nie krzychałem, kiedy mnie bolało, łykałem wszystkie lekarstwa. Bywają dni, kiedy mam ochotę go objechać, powiedzieć mu, że może to on, doktor Dusseldorf, ze swoimi czarnymi brwiami, po prostu schrząnił operację. Ale nic z tego. Ma taką nieszczęśliwą minę, że obelgi więzną mi w gardle. I im dłużej doktor Dusseldorf milczy ze swoją zmartwioną miną, tym bardziej ja czuję się winny. Zrozumiałem już, że stałem się złym pacjentem, pacjentem, który podważa wiarę w nieograniczone możliwości medycyny.

Myśli lekarza, są zaraźliwe. Teraz już wszyscy na naszym piętrze: pielęgniarki, praktykanci i sprzątaczkę patrzą na mnie tak samo. Martwią się, kiedy jestem w dobrym humorze; zmuszają się do śmiechu, kiedy powiem jakiś dowcip. Nie chichramy się już jak dawniej.

Tylko ciocia Róża się nie zmieniła. Moim zdaniem, za stara jest na to, żeby się zmieniać. Poza tym jest za bardzo ciocią Różą. Cioci Róży nie muszę Ci, Panie Boże, przedstawiać, to Twoja stara kumpelka, to ona kazała mi do Ciebie napisać. Problem tylko w tym, że jestem jedynym, który nazywa ją ciocią Różą. Musisz więc postarać się zrozumieć, o kim mówię: ze wszystkich pań w różowych fartuchach, które przychodzą z zewnątrz, żeby spędzać czas

z chorymi dziećmi, ona jest najstarsza.

- Ile masz lat, ciociu Rózo?

- Potrafisz zapamiętać trzynastocyfrową liczbę, Oskarku?

- Och! Chyba przesadzasz!

- Nie. Lepiej, żeby nie wiedziano tu, ile mam lat, bo wyrzucą mnie i więcej się nie zobaczymy.

- Dlaczego?

- Jestem tu nielegalnie. Jest pewna granica wieku, żeby być wolontariuszką. A ja ją dawno przekroczyłam.

- Jesteś przeterminowana?

- Tak.

- Jak jogurt?

- Ćśś!

- Dobrze! Nikomu nie powiem.

Była cholernie odważna, że wyznała mi swój sekret. Ale dobrze trafiła. Nie pisnę słowa, chociaż dziwię się, że przy tych wszystkich zmarszczkach, które jak promienie słońca okalają jej oczy, nikt się jeszcze nie domyślił.

Innym razem poznałem jej kolejny sekret i teraz już, Panie Boże, na pewno skojarzysz, o kogo chodzi.

Spacerowaliśmy po szpitalnym parku i nagle wdepnęła w kupę.

- Cholera!

- Ciociu, brzydko się wyrażasz!

- Odczep się, szczeniaku, mówię, jak mi się podoba.

- Och, ciociu Rózo.

- I rusz tyłek. To jest, kurde, spacer, a nie wyścigi ślimaków.

Kiedy siedliśmy na ławce, żeby zjeść cukierka, spytałem:

- Dlaczego tak brzydko mówisz?

- Skrzywienie zawodowe, Oskarku. W moim zawodzie nie miałam żadnych szans, jeśli nie używałam mocnych słów.

- A jaki był twój zawód?

- Nie uwierzysz, jeśli ci powiem...

- Przysięgam ci, że uwierzę.

- Byłam zapaśniczką.

- Bujasz!

- Byłam zapaśniczką! Nazywano mnie Dusicielką z Langwedocji.

Od tej pory, kiedy dopada mnie chandra i kiedy jest pewne, że nikt nas nie może usłyszeć, ciocia Róża opowiada mi o swoich walkach: Dusicielka z Langwedocji przeciw Rzeźniczce z Limousin, o tym, jak przez dwadzieścia lat zmagła się z Diaboliką Sinclair, Holenderką, która miała piersi jak pociski, a przede wszystkim o spotkaniu w turnieju o puchar świata z Ullą Ullą, zwaną Suką z Hamburga, której nikomu nie udało się pobić, nawet Stalowym Udom, wielkiej mistrzyni cioci Róży z czasów, kiedy była zapaśniczką. Te wszystkie opowieści wprawiają mnie w rozmarzenie, wyobrażam sobie moją znajomą, drobną, trochę trzęsącą się staruszkę w różowym fartuchu na ringu, jak rozkłada na cztery łopatki olbrzymki w obcisłych trykotach. Wydaje mi się, że to ja. Staję się najsilniejszy. Mszczę się.

No więc, Panie Boże, jeżeli przy tych wskazówkach - ciocia Róża alias Dusicielka z Langwedocji - nie będziesz wiedział, kto to jest ciocia Róża, to lepiej przestań być Bogiem i idź na emeryturę. Myślę, że wyraziłem się jasno.

Wracam do swoich spraw.

Jak mówiłem, mój przeszczep wszystkich rozczarował. Chemia też wszystkich rozczarowała, ale wtedy liczone na przeszczep. Teraz odnoszę wrażenie, że lekarze nie wiedzą już, co proponować, i nawet mi ich żal. Doktor Dusseldorf, którego mama uważa, za bardzo przystojnego, chociaż według mnie ma trochę za bardzo krzaczaste brwi, wygląda jak zafrasowany Święty Mikołaj, któremu skończyły się prezenty.

Atmosfera coraz bardziej się psuje. Rozmawiałem o tym z moim kolegą Bekonem. Tak naprawdę to on nie nazywa się Bekon, tylko Yves, ale my nazwaliśmy go Bekonem, bo to bardziej do niego pasuje, dlatego że jest poparzony.

- Bekon, mam wrażenie, że lekarze przestali mnie lubić, załamuję ich.

- Coś ty, Jajogłowy! Lekarze są nie do zdarcia. Zawsze mają pełno pomysłów na operacje, które można ci zrobić. Policzyłem, mnie obiecali co najmniej sześć.

- Może ich inspirujesz.

- Najwyraźniej.

- Ale dlaczego nie powiedzą mi po prostu, że umrę?

Wtedy Bekon zareagował jak wszyscy w szpitalu: ogłuchł. Jeśli w szpitalu powiecie coś o umieraniu, nikt nie usłyszy. Możecie być pewni, że powstanie jakaś dziura powietrzna i zaczną mówić o czym innym. Wypróbowałem to ze wszystkimi. Oprócz cioci Róży.

Więc dzisiaj rano postanowiłem przekonać się, czy ona też straci słuch, kiedy o tym wspomnę.

- Ciociu Różo, dlaczego nikt mi nie mówi, że umrę?

Spogląda na mnie. Czy zachowa się tak jak wszyscy? Proszę cię, Dusicielko z Langwedocji, wytrzymaj, nie zatykaj uszu!

- Czemu chcesz, żeby ci to mówiono, skoro sam wiesz, Oskarze! Uff, usłyszała.

- Wydaje mi się, ciociu, że oni chcieliby widzieć ten szpital innym, niż naprawdę jest. Jakby człowiek przychodził do szpitala tylko po to, żeby wyzdrowieć. A przecież przychodzi się tutaj także po to, żeby umrzeć.

- Masz rację, Oskarze. Myślę zresztą, że popełnia się ten sam błąd w stosunku do życia w ogóle. Zapominamy, że życie jest kruche, delikatne, że nie trwa wiecznie. Zachowujemy się wszyscy, jakbyśmy byli nieśmiertelni.

- Moja operacja się nie udała, ciociu Różo?

Ciocia Róża nie odpowiedziała. To był jej sposób na to, żeby powiedzieć tak. Kiedy już była pewna, że zrozumiałem, podeszła do mnie i szepnęła błagalnym tonem:

- Oczywiście niczego ci nie mówiłam. Przysięgasz?

- Przysięgam.

Przez chwilę nic nie mówiliśmy, żeby przetrwać te wszystkie nowe myśli.

- A może napisałbyś list do Pana Boga, Oskarze?
- Och nie, ty też, ciociu Rózo?
- Co ja też?
- Myślałem, że nie jesteś kłamczuchą.
- Ale ja wcale nie kłamię.
- To czemu mówisz mi o Panu Bogu? Dałem się już raz nabrać na Świętego Mikołaja. To mi wystarczy, dziękuję!
- Oskarze, Pan Bóg i Święty Mikołaj nie mają ze sobą nic wspólnego.
- Owszem. Na jedno wychodzi. Zwykła propaganda!
- Myślisz, że ja, była zapaśniczka, sto sześćdziesiąt wygranych meczów na sto sześćdziesiąt pięć odbytych, z czego czterdzieści trzy przez nokaut, Dusicielka z Langwedocji, mogłabym choć sekundę wierzyć w Świętego Mikołaja?
- Nie.
- A w Boga wierzę. Wyobraź sobie. Jasne, że to zmieniało postać rzeczy.
- A po co miałbym pisać do Pana Boga?
- Może poczułbyś się mniej samotny?
- Mniej samotny z kimś, kto nie istnieje?
- Spraw, żeby istniał. Pochyliła się w moją stronę.
- Za każdym razem, kiedy w niego uwierzysz, będzie trochę bardziej istniał. Jeśli się uprzesz, zacznie istnieć na dobre. I wtedy ci pomoże. - Co mogę mu napisać?
- Podziel się z nim swoimi myślami. Myśli, których się nie zdradza., ciężą nam, zagnieżdżają się, paraliżują nas, nie dopuszczają nowych i w końcu zaczynają gnić. Staniesz się składem starych śmierdzących myśli, jeśli ich nie wypowiesz.
- O.K.
- Poza tym możesz co dzień poprosić go o jedną rzecz. Ale uwaga! Tylko o jedną.
- To ten twój Pan Bóg jest do niczego, ciociu Rózo. Aladyn mógł prosić sługę lampy o spełnienie aż trzech życzeń.
- Jedno życzenie dziennie, to chyba lepiej niż trzy przez całe życie, nie uważasz?
- O.K. To mogę go o wszystko poprosić? O zabawki, cukierki, samochód?...
- Nie, Oskarze. Bóg to nie Święty Mikołaj. Możesz go prosić tylko o sprawy duchowe.
- Na przykład?
- Na przykład o odwagę, o cierpliwość, o zrozumienie.
- O.K. Rozumiem.
- Możesz też, Oskarze, prosić go o różne rzeczy dla innych.
- Jedno życzenie dziennie, ciociu Rózo, no to bez przesady, najpierw pomyślę o sobie!
- No. A więc, Panie Boże, w tym pierwszym liście opisałem Ci trochę, jak mi się żyje w tym szpitalu, gdzie patrzą na mnie jak na przeszkodę dla

medycyny, i chciałbym Cię prosić o wyjaśnienie: czy wyzdrowieję? Odpowiedz mi tak lub nie. To nie jest skomplikowane. Tak lub nie. Niepotrzebne skreślić.

No to do jutra, całusy, Oskar.

PS: Nie mam Twojego adresu. Co robić?

Szanowny Panie Boże,

Brawo! Jesteś bardzo mocny. Nie zdążyłem jeszcze wysłać listu, a Ty już dajesz mi odpowiedź. Jak Ty to robisz?

Dziś rano w świetlicy grałem w szachy z Einsteinem, kiedy Pop Corn przyszedł mnie uprzedzić.

- Przyjechali twoi rodzice.
- Moi rodzice? Niemożliwe. Przyjeżdżają tylko w niedziele.
- Widziałem samochód, czerwonego jeepa z białą plandeką.
- Niemożliwe.

Wzruszyłem ramionami i dalej grałem z Einsteinem. Ale głowę miałem zajęta i Einstein zabierał mi wszystkie pionki, co mnie jeszcze bardziej rozdrażniło. A mówimy na niego Einstein nie dlatego, że jest bardziej inteligentny od innych, ale dlatego, że ma dwa razy większą głowę. Podobno w środku jest woda. Szkoda, bo gdyby to był mózg, Einstein pewnie dokonałby wielkich rzeczy.

Przerwałem grę, kiedy zorientowałem się, że przegram, i poszedłem za Pop cornem do sali wychodzącej na parking. Miał rację: przyjechali moi rodzice.

Trzeba Ci wiedzieć, Panie Boże, że mieszkamy daleko stąd. Kiedy sam tam mieszkalem, nie zdawałem sobie z tego sprawy, ale teraz, kiedy już tam nie mieszkam, uważam, że to naprawdę daleko. Dlatego też rodzice odwiedzają mnie tylko raz w tygodniu, w niedzielę, ponieważ w niedzielę nie pracują, ja zresztą też nie.

- Widzisz, że miałem rację - powiedział Pop Corn. - Co mi dasz za to, że cię uprzedziłem?

- Mam czekoladę z orzechami.
- Nie masz już galaretek truskawkowych?
- Nie.
- No to niech będzie czekolada.

Oczywiście nie wolno nam dawać jedzenia Pop Cornowi, ponieważ jest tutaj po to, żeby schudnąć. Dziewięćdziesiąt osiem kilo wagi w wieku dziewięciu lat przy metrze dziesięć wzrostu i metrze dziesięć szerokości! Jedyne ubranie, w które się mieści cały, to amerykańska koszulka do gry w polo. A i tak paski cierpią na chorobę morską. A ponieważ ani ja, ani żaden z kolegów nie wierzymy, że kiedyś przestanie być gruby i żal nam go, bo wciąż chce mu się jeść, dajemy mu różne resztki. Co to jest jedna czekoladka w porównaniu z taką masą sadła! Jeżeli źle robimy, to niech pielęgniarki też przestaną wpychać w niego czopki.

Wróciłem do pokoju i czekałem na rodziców. Z początku nie zdawałem sobie sprawy z upływu czasu, bo byłem strasznie zdyszany, potem uświadomiłem sobie, że piętnaście razy zdążyliby już do mnie przyjść.

Nagle domyśliłem się, gdzie są. Wymknąłem się na korytarz. Kiedy nikt nie widział, zszedłem po schodach, a potem w półmroku dotarłem do gabinetu doktora Dusseldorfa.

Bingo! Byli tam. Zza drzwi dobiegały mnie głosy. Ponieważ zmęczyłem



się schodzeniem, postanowiłem, zanim otworzę drzwi, odczekać kilka sekund, aż serce przestanie mi walić. I wtedy się wszystko wydało. Usłyszałem to, czego nie powinienem był usłyszeć. Moja matka szlochała, doktor Dusseldorf powtarzał: „Zrobiliśmy, co w naszej mocy, proszę mi wierzyć”, a ojciec odpowiadał zdławionym głosem: „Nie wątpię, doktorze, nie wątpię”.

Stałem z uchem przytkniętym do żelaznych drzwi. Nie wiem, co było zimniejsze, metal czy ja?

Potem doktor Dusseldorf zapytał:

- Chcecie państwo go ucałować?
- Nie będę miała odwagi - powiedziała moja matka.
- Nie powinien widzieć nas w takim stanie - dodał ojciec.

I wtedy zrozumiałem, że moi rodzice to tchórze. Gorzej: tchórze, którzy biorą mnie za tchórze! Z gabinetu dobiegł odgłos przesuwanych krzesel, więc domyśliłem się, że zaraz wyjdą, i otworzyłem najbliższe drzwi.

W ten sposób znalazłem się w szafie na szczotki, gdzie spędziłem resztę przedpołudnia, bo nie wiem, czy Ci wiadomo, Panie Boże, że szafy na szczotki można otworzyć od zewnątrz, ale nie od wewnątrz, jakby bano się, że w nocy szczotki, kubły i szmaty do podłogi stamtąd prysną!

W każdym razie nie przeszkadzało mi, że siedzę zamknięty w ciemnościach, bo nie miałem ochoty nikogo oglądać, a po tym, co usłyszałem, ręce i nogi odmawiały mi posłuszeństwa.

Koło południa poczułem, że piętro wyżej powstało niezłe poruszenie. Słychać było kroki, gonitwy. Potem zaczęto wykrzykiwać moje imię. - Oskar! Oskar!

Dobrze mi to robiło, kiedy słyszałem, jak mnie wołają, i nie odpowiadałem. Miałem ochotę zrobić na złość całemu światu.

Później chyba się trochę zdrzemnąłem, a potem rozpoznałem odgłos szurających drewniaków sprzątaczką, pani N'da. Otworzyła drzwi i wtedy naprawdę się siebie przestraszyliśmy, oboje wrzasnęliśmy strasznie głośno, ona, bo nie spodziewała się mnie tutaj znaleźć, ja, bo nie pamiętałem, że jest taka czarna. Ani że tak głośno krzyczy.

No i powstało niesamowite zamieszanie. Zbiegli się wszyscy, doktor Dusseldorf, przełożona pielęgniarek, dyżurne pielęgniarki, reszta sprzątaczek. Myślałem, że na mnie nakrzczą. Ale oni czuli się nieswojo i zorientowałem się, że trzeba szybko wykorzystać sytuację.

- Chcę, żeby przyszła, ciocia Róża.
- Gdzieś ty się podziewał, Oskarze? Jak się czujesz?
- Chcę, żeby przyszła ciocia Róża.
- Jak znalazłeś się w tej szafie? Poszedłeś za kimś? Słyszałeś coś?
- Chcę, żeby przyszła ciocia Róża.
- Napij się wody.
- Nie. Chcę, żeby przyszła ciocia Róża.
- Zjedz kawałek...
- Nie. Chcę, żeby przyszła ciocia Róża.

Granit. Skąła. Beton. Żadnej dyskusji. Nie słuchałem nawet, co do mnie mówiono. Chciałem, żeby przyszła ciocia Róża.

Doktorowi Dusseldorfowi najwyraźniej głupio było wobec kolegów, że nie ma na mnie żadnego wpływu. W końcu się złamał.

- Niech ktoś pójdzie po tę panią!

Wtedy zgodziłem się odpocząć i przespałem się trochę w swoim pokoju. Kiedy się obudziłem, ciocia Róża już była. Uśmiechała się.

- Brawo, Oskarze, dobra robota. Dałeś im niezłego prztyczka. Ale skutek jest taki, że teraz mi zazdroszczą.

- Mamy to gdzieś.

- To dobrzy ludzie, Oskarze. Bardzo dobrzy.

- Mam to gdzieś.

- Co się stało?

- Doktor Dusseldorf powiedział moim rodzicom, że umrę, a oni uciekli.

Nienawidzę ich.

Opowiedziałem jej wszystko ze szczegółami, jak Tobie, Panie Boże.

- Hmm - powiedziała ciocia Róża - to przypomina mi turniej w Bethune, spotkanie z Sara Bum Bum, zapaśniczką o ciele wysmarowanym oliwą, węgoryczą ringu, akrobatką, która biła się prawie naga i - wyslizgiwała ci się z rąk, kiedy próbowałeś założyć jej jakiś chwyt. Walczyła tylko w Bethune i co roku zdobywała puchar Bethune. A ja też miałam ochotę na ten puchar!

- I co zrobiłaś, ciociu?

- Moi znajomi sypnęli na nią mąką, kiedy wchodziła na ring. Oliwa plus mąka, powstała z tego piękna panierka. Raz dwa trzy powaliłam na ziemię słynną Sarę Bum Bum. Potem nie nazywano jej już węgoryczą ringu, ale panierowaną flądą.

- Nie gniewaj się, ciociu, ale nie widzę związku.

- Ja widzę go bardzo dobrze. Zawsze jest jakieś rozwiązanie, Oskarze, zawsze jest gdzieś jakiś worek mąki. Powinieneś napisać do Pana Boga. On jest lepszy ode mnie.

- Nawet w zapasach?

- Tak. Nawet w zapasach Pan Bóg jest najlepszy. Spróbuj, Oskarku. Co cię najbardziej boli?

- Nienawidzę moich rodziców.

- To nienawidź ich z całej siły.

- Ty mi to mówisz, ciociu Różo?

- Tak, nienawidź ich z całej siły. To będzie tak, jakbyś miał kość do ogryzania. Kiedy już skończysz ją ogryzać, zobaczysz, że nie było warto. Opowiedz o tym wszystkim Panu Bogu w liście i poproś go, żeby cię odwiedził.

- On się przemieszcza?

- Na swój sposób. Nieczęsto. Nawet bardzo rzadko.

- Dlaczego? On też jest chory?

Westchnęła i zaraz zrozumiałem: nie chciała mi powiedzieć, że Ty też, Panie Boże, nie jesteś w najlepszej formie.

- Rodzice nigdy nie mówili ci o Bogu, Oskarze?

- Daj spokój. Moi rodzice są głupi.

- Oczywiście. Ale czy nigdy nie mówili ci o Bogu?

- Owszem. Raz. Żeby powiedzieć, że w niego nie wierzą. Wierzą tylko w

Świętego Mikołaja.

- Są aż tak głupi, Oskarku?

- Nawet sobie nie wyobrażasz! Kiedy raz wróciłem ze szkoły i powiedziałem, żeby przestali się wygłupiać, bo wiem, jak wszyscy koledzy, że Święty Mikołaj nie istnieje, wyglądali, jakby spadli z księżycy. A ponieważ byłem wściekły, bo w szkole wyszedłem na idiotę, zaczęli się zaklinać, że wcale nie chcieli mnie oszukać, że sami głęboko wierzyli w Świętego Mikołaja i są okropnie zawiedzeni, naprawdę okropnie zawiedzeni, dowiadując się, że to nieprawda! Kompletni debile, sama przyznasz!

- Więc nie wierzą w Boga?

- Nie.

- I to cię nie zdziwiło?

- Jeżeli będę zajmował się tym, co myślą głupcy, nie będę miał czasu na to, o czym myślą ludzie inteligentni.

- Masz rację. Ale właśnie fakt, że twoi rodzice, którzy, według ciebie, są głupi...

- Tak. Głupi jak stołowe nogi, ciociu Rózo!

- Więc skoro twoi rodzice, którym nie ufasz, w niego nie wierzą, czemu ty nie miałbyś uwierzyć i poprosić go o odwiedzinę?

- Zgoda. Ale sama mówiłaś, że jest obłożnie chory...

- Nie. Ma tylko bardzo specyficzny sposób składania wizyt. Odwiedza cię w myślach. W duchu.

To mi się spodobało. To było naprawdę super. Ciocia Róża dodała:

- Zobaczysz: jego odwiedziny bardzo pomagają.

- O.K. Wspomnę mu o tym. Ale jak na razie, najbardziej pomagają mi twoje odwiedziny.

Ciocia Róża się uśmiechnęła i nieśmiało schyliła się, żeby mnie pocałować w policzek. Bała się to zrobić. Wzrokiem pytała mnie o pozwolenie.

- No już! Pocałuj mnie. Nikomu nie powiem. Nie będę psuł twojej reputacji byłej zapaśniczki.

Dotknęła wargami mojego policzka i zrobiło mi się bardzo przyjemnie: czułem ciepło, drobne igiełki, zapach pudru i mydła.

- Kiedy znowu przyjdiesz?

- Mogę przychodzić tylko dwa razy w tygodniu.

- No co ty, ciociu! Mam czekać aż trzy dni?

- Takie są przepisy.

- Kto ustanawia przepisy?

- Doktor Dusseldorf.

- Doktor Dusseldorf teraz robi w majtki, jak mnie zobaczy. Idź i poproś go o pozwolenie, ciociu. Mówię poważnie.

Spojrzała na mnie z wahaniem.

- Mówię poważnie. Jeśli nie będziesz mnie codziennie odwiedzać, nie będę pisał do Pana Boga.

- Spróbuję.

Ciocia Róża wyszła, a ja się rozplakałem.

Wcześniej nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo potrzebuję pomocy.

Wcześniej nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo jestem chory. Zrozumiałem to dopiero, kiedy pomyślałem, że więcej nie zobaczę cioci Róży, i teraz to wszystko wypływało ze mnie łzami, które paliły mi policzki.

Na szczęście miałem trochę czasu, żeby wziąć się w garść, zanim wróci.

Załatwione. Mam pozwolenie. Przez dwanaście dni będę mogła codziennie cię odwiedzać.

- Mnie i nikogo poza mną?

- Ciebie i nikogo poza tobą, Oskarze. Dwanaście.

Wtedy nie wiem, co mi się stało, łzy znowu napłynęły i zaczął wstrząsać mną płacz. A przecież wiem, że chłopcy nie powinni się mazać, już szczególnie ja, z moją głową w kształcie jaja, która nie przypomina ani chłopca, ani dziewczynki, ale raczej Marsjanina. Nic z tego. nie mogłem przestać.

- Dwanaście dni? Jest aż tak źle, ciociu Rózo?

Jej też zbierało się na płacz. Wahała się. Była zapaśniczka nie pozwalająca byłej dziewczynce się rozkleić. Fajnie to wyglądało i miałem trochę rozrywki.

- Jaki dziś dzień, Oskarze?

- Co za pytanie! Nie widzisz mojego kalendarza? Dzisiaj jest dziewiętnasty grudnia.

- W moim kraju, Oskarze, jest taka legenda, która mówi, że z ostatnich dwunastu dni roku można odgadnąć pogodę, jaka będzie panowała przez dwanaście miesięcy nadchodzącego roku. Dziewiętnasty grudnia odpowiada styczniowi, dwudziesty grudnia to luty, i tak dalej, aż do trzydziestego pierwszego, który zapowiada grudzień następnego roku.

- I to jest prawda?

- To jest legenda. Legenda, o dwunastu proroczych dniach. Chciałabym, żebyśmy się w coś takiego pobawili. A zwłaszcza ty. Od dzisiaj będziesz bacznie obserwował każdy dzień, mówiąc sobie, że ten dzień to jakby dziesięć lat.

- Dziesięć lat?

- Tak. Jeden dzień to dziesięć lat.

- Więc za dwanaście dni będę miał sto trzydzieści lat!

- Tak. Wyobrażasz sobie?

Ciocia Róża mnie pocałowała - czuję, że jej się to spodobało - i poszła sobie.

Więc widzisz, Panie Boże: dziś rano się urodziłem i nawet się nie zorientowałem; dotarło to do mnie dopiero gdzieś około południa, kiedy miałem pięć lat, zyskałem większą świadomość, lecz nie przyniosła mi ona dobrych nowin; dziś wieczór kończę dziesięć lat, wiek rozumu. Korzystam z tego, żeby poprosić Cię o jedną rzecz: jeśli masz mi coś do przekazania, tak jak dzisiaj w południe, na moje piąte urodziny, nie bądź taki brutalny. Dziękuję.

Do jutra, całusy, Oskar.

PS: Chciałbym Cię o coś poprosić. Wiem, że mam prawo tylko do jednego życzenia, ale to ostatnie to właściwie nie było życzenie, bardziej rada.

Nie miałbym nic przeciwko małym odwiedzinom. Takiej wizycie duchowej. To mi się wydaje super. Chciałbym, żebyś mi taką wizytę złożył. Jestem otwarty od ósmej rano do dziewiątej wieczór. Przez resztę czasu śpię. W ciągu dnia zresztą też zdarza mi się zdrzemnąć, z powodu lekarstw. Gdybyś mnie zastał śpiącego, nie wahaj się mnie obudzić. Byłoby głupio, gdybyśmy się nie spotkali z powodu jednej minuty, nie uważasz?

Szanowny Panie Boże,

Dzisiaj przeżyłem wiek młodzieńczy i nie obeszło się bez kłopotów. Co za historia! Miałem przejścia z kumplami, z rodzicami, a wszystko z powodu dziewczyn. Dziś wieczór cieszę się, że mam dwadzieścia lat, bo myślę sobie, że uff, najgorsze mam już za sobą. Dojrzewanie to jest naprawdę syf! Dobrze, że przechodzi się przez to tylko raz!

Na początku, Panie Boże, zawiadamiam Cię, że nie przyszedłeś. Spałem dziś bardzo mało przez te wszystkie problemy wieku dojrzewania, więc na pewno bym Cię nie przegapił. Poza tym jeszcze raz Ci powtarzam: jeżeli kimam, potrząśnij mną.

Kiedy się obudziłem, ciocia Róża już była. Podczas śniadania opowiedziała mi o swoich walkach z Królewskim Cysem, belgijską zapaśniczką, która co dzień pochłaniała trzy kilo surowego mięsa, podlewając je beczką piwa; podobno tym, co miała najmocniejsze, był jej oddech, z powodu mięsno-piwej fermentacji: już on sam zwał przeciwniczki z nóg. Żeby ją pobić, ciocia Róża musiała wprowadzić nową taktykę: założyć kominiarkę, nasączyć ją lawendą i przybrać imię Dręczycielki z Carpentras. Bo w zapasach, jak zawsze powtarza, trzeba mieć także dobrze umięśniony mózg.

- Kogo naprawdę lubisz, Oskarze?

- Tutaj? W szpitalu?

- Tak.

- Bekona, Einsteina, Pop Corna.

- A z dziewcząt?

Kompletnie mnie wcięło. Nie miałem ochoty odpowiadać. Ale ciocia Róża czekała, a przed była zapaśniczką międzynarodowej klasy nie można zbyt długo robić z siebie idioty.

- Peggy Blue.

Peggy Blue to niebieska dziewczynka. Mieszka w przedostatniej sali, na końcu korytarza. Uśmiecha się miło, ale prawie się nie odzywa. Wygląda jak wróżka, która wpadła na chwilę do szpitala, żeby odpocząć. Ma skomplikowaną chorobę, niebieską chorobę, jakiś problem z krwią, co powinna płynąć do płuc, ale nie płynie i przez to skóra nabiera niebieskawej barwy. Czeką na operację mającą sprawić, że stanie się różowa. Ja uważam, że to szkoda, Peggy Blue bardzo mi się podoba w błękitach. Jest wokół niej wielka cisza i mnóstwo światła, człowiek ma wrażenie, że wchodzi do kaplicy.

- Powiedziałaś jej o tym?

- Przecież nie stanę przed nią i nie powiem: „Peggy Blue, bardzo cię lubię”.

- Owszem. Czemu tego nie robisz?

- Nie wiem nawet, czy ona wie o moim istnieniu.

- Tym bardziej.

- Widzisz, jak wyglądam? Musiałaby lubić istoty pozaziemskie, a w to raczej wątpię.

- Mnie się bardzo podobasz, Oskarze.

Trochę mnie tym ciocia Róża speszyła. Miło jest słyszeć takie rzeczy, człowiek dostaje gęziej skórki, tylko że nie bardzo wiadomo, co odpowiedzieć.

- Nie chcę jej czarować wyglądem, ciociu.

- Co do niej czujesz?

- Chciałbym bronić jej przed duchami.

- Jak to? Są tutaj duchy?

- Tak. Co noc. Budzą nas, nie wiadomo dlaczego. Cierpimy, bo nas szczypią. Boimy się, bo ich nie widać. Trudno nam z powrotem zasnąć.

- A do ciebie często przychodzą?

- Nie. Ja mam głęboki sen. Ale nieraz słyszę, jak Peggy Blue krzyczy w nocy. Chciałbym jej bronić.

- Idź i jej to powiedz.

- I tak nie będę mógł tego robić, bo w nocy nie wolno nam wychodzić z pokoi. Takie są przepisy.

- A czy duchy znają te przepisy? Na pewno nie. Więc skoro usłyszą, jak obiecujesz Peggy Blue, że będziesz stał na warcie, aby jej przed nimi bronić, nie ośmielą się przyjść dzisiaj wieczór.

- Uhu...

- Ile masz lat, Oskarze?

- Nie wiem. Która godzina?

- Dziesiąta. Zbliżasz się do piętnastu lat. Nie sądzisz, że czas już mieć odwagę wyrazić swoje uczucia?

O wpół do jedenastej zdecydowałem się i poszedłem pod drzwi jej pokoju, które były otwarte.

- Cześć, Peggy, to ja, Oskar.

Leżała na łóżku jak Królowna Śnieżka czekająca na swojego królewicza, kiedy tym bałwanom krasnoludkom wydaje się, że nie żyje, Królowna Śnieżka jak na zdjęciach, na których śnieg jest niebieski, a nie biały.

Odwrociła się do mnie, a ja zacząłem się zastanawiać, czy weźmie mnie za królewicza czy za jednego z krasnoludków. Postawiłbym krzyżyk raczej przy „krasnoludku” z powodu mojej jajowatej głowy, ale ona nic nie powiedziała, i to właśnie jest fajne z Peggy Blue, że nigdy nic nie mówi i wszystko jest tajemnicze.: - Przyszedłem ci powiedzieć, że jeśli chcesz, dzisiaj i przez następne wieczory będę stał na straży przed twoim pokojem, żeby bronić cię przed duchami.

Spojrzała na mnie, zatrzepotała rękami i było tak, jakby film przesuwiał się w zwolnionym tempie, powietrze stawało się coraz gęstsze, cisza coraz bardziej cicha, jakbym szedł przez wodę i nagle wszystko się odmieniło, kiedy zbliżyłem się do jej łóżka skąpanego w padającym nie wiadomo skąd świetle.

- Chwileczkę, Jajogłowy: ja będę pilnował Peggy!

Pop Corn stał w drzwiach, a raczej wypełniał sobą drzwi. Zadrzałem. Jasne, że jeśli on będzie pełnił straż, żaden duch na pewno się nie przecisnie. i Pop Corn mrugnął do Peggy.

- Prawda, Peggy? Jesteśmy przecież kumplami!

Peggy spojrzała w sufit. Pop Corn uznał to za potwierdzenie i wyciągnął mnie na korytarz.

- Jak chcesz mieć dziewczynę, to weź sobie Sandrine. Peggy jest już zajęta.

- Jakim prawem?

- Takim, że byłem pierwszy. Jak ci się nie podoba, to możemy się bić.

- Podoba mi się, w porządku.

Byłem trochę zmęczony, więc poszedłem usiąść sobie na chwilę w świetlicy. Właśnie była tam Sandrine. Sandrine ma białaczkę, tak samo jak ja, ale u niej leczenie przynosi efekty. Nazywamy ją Chinką, bo nosi perukę z czarnych błyszczących sztywnych włosów z grzywką, przez co wygląda jak Chinka. Spojrzała na mnie, zrobiła balon z gumy do żucia i strzeliła z niego.

- Chcesz, to możesz mnie pocałować.

- Dlaczego? Nie wystarczy ci guma do żucia.?

- Nawet byś nie potrafił, głupku. Jestem pewna, że nigdy jeszcze tego nie robiłeś.

- Rozśmieszasz mnie. Mam piętnaście lat i nieraz już to robiłem.

- Masz piętnaście lat? - pyta, zdziwiona. Spoglądam na zegarek.

- Tak. Skończone.

- Zawsze marzyłam o tym, żeby mnie pocałował taki duży piętnastoletni chłopak.

- Jasne, kto by nie chciał - mówię.

Wtedy ona robi niesamowitą minę, wysuwa wargi do przodu, wygląda jak przyklejona do szyby przyssawka; domyślam się, że czeka na pocałunek.

Odwracam się i widzę gapiących się na mnie kumpli. Nie mogę stchórzyć. Muszę zachować się jak mężczyzna. Nadeszła pora.

Podchodzę i obejmuję ją. Oplata mnie ramionami, wpija się w moje usta, nie mogę się od niej odkleić i nagle, bez uprzedzenia, wpycha mi do buzi swoją gumę. Zaskoczony, od razu ją połknąłem. Byłem wściekły.

W tej samej chwili czyjaś dłoń klepnęła mnie po plecach. Nieszczęścia zawsze chodzą parami: moi rodzice. Zapomniałem, że jest niedziela!

- Przedstawisz nam swoją przyjaciółkę, Oskarze?

- To nie jest moja przyjaciółka.

- Może jednak nam ją przedstawisz?

- Sandrine. Moi rodzice. Sandrine.

- Miło mi państwa poznać - mówi Chinka z rozanieloną miną. Chętnie bym ją udusił.

- Chcesz, żeby Sandrine poszła z nami do twojego pokoju?

- Nie. Sandrine tu zostaje.

Kiedy znalazłem się w łóżku, poczułem, że jestem zmęczony, i trochę się zdrzemnąłem. W każdym razie nie miałem ochoty z nimi rozmawiać.

Kiedy się obudziłem, okazało się oczywiście, że przywieźli mi prezenty. Odkąd jestem na stałe w szpitalu, moim rodzicom jakoś nie idą rozmowy; więc przywożą mi prezenty i spędzamy beznadziejne popołudnia na czytaniu reguł gry i instrukcji. Ojciec jest nieustraszony: nawet kiedy napisane są po turecku albo po japońsku, nie traci ducha, skupia się na rysunkach. Jest mistrzem świata w zatruwaniu niedzielного popołudnia.

Dzisiaj przywiózł mi odtwarzacz płyt. Nie mogę się przyczepić, bo



chciałem go dostać.

- Nie było was wczoraj?

- Wczoraj? Dlaczego? Możemy przyjeżdżać tylko w niedziele. Dlaczego o to pytasz?

- Ktoś widział na parkingu wasz samochód.

- Czy to jeden czerwony jeep na świecie? Samochody się powtarzają.

- Uhu. Tylko rodziców ma się jednych. Szkoda.

Zatkało ich. Więc wziąłem odtwarzacz i dwa razy przesłuchałem płytę, Dziadka do orzechów, ciurkiem, w ich obecności. Dwie godziny, w czasie których nie mogli się odezwać. Dobrze im tak.

- Podoba ci się?

- Tak. Chce mi się spać.

Zrozumieli, że powinni już iść. Strasznie im było ciężko. Nie mogli się zdecydować. Czułem, że chcą mi coś powiedzieć, ale nie dają rady. Przyjemnie było patrzeć, jak oni z kolei się męczą.

Potem matka przytuliła się do mnie, uściśniła mnie mocno, bardzo mocno, i powiedziała urywanym głosem:

- Kocham cię, Oskarku, tak bardzo cię kocham.

Miałem ochotę się opierać, ale w ostatniej chwili dałem spokój, przypomniały mi się dawne czasy, czasy prostych, nieskomplikowanych pieścizot, kiedy w jej głosie nie było niepokoju, gdy mówiła mi, że mnie kocha.

Potem chyba się trochę zdrzemnąłem.

Ciocia Róża to mistrzyni przebudzeń. Zawsze dobiega do mety, kiedy otwieram oczy. I zawsze się wtedy uśmiecha.

- Jak tam rodzice?

- Jak zawsze, beznadziejni. Ale dali mi Dziadka do orzechów.

- Dziadka do orzechów? Ciekawe. Miałam koleżankę, która się tak nazywała. Niesamowita zawodniczka. Gruchotała ci kości udami. A Peggy Blue, byłeś u niej?

- Nie mówmy o tym. Jest zaręczona z Pop Cornem...

- Powiedziała ci to?

- Nie. On mi powiedział,

- Przechwała się!

- Nie sądzę. Jestem pewien, że podoba jej się bardziej ode mnie, jest silniejszy, bardziej opiekuńczy.

- Przechwała się, mówię ci! Ja, która na ringu wyglądałam jak myszka, zwyciężałam zapaśniczki podobne do wielorybów albo hipopotamów. Na przykład taką Plum Pudding, Irlandkę, sto pięćdziesiąt kilo na czczo w samych majteczkach przed wypiciem guinnessa, przedramiona jak moje uda, bicepsy jak szynki, nogi, których nie mogłam objąć rękami. Bez talii, bez możliwości uchwycenia. Nie do pobicia!

- I co zrobiłaś?

- Kiedy nie ma chwytu, to znaczy, że jest krągłość, która będzie się turlać. Trochę ją przegoniłam, a potem przewróciłam. Trzeba było ściągnąć kołowrót, żeby ją podnieść. Ty, Oskarku, masz drobne kości i niezbyt dużo mięśni, to fakt, ale urok to nie tylko sylwetka i mięśnie, to także zalety serca. A

tych masz w sobie pełno.

- Ja?

- Idź do Peggy Blue i powiedz jej, co ci leży na sercu.

- Jestem trochę zmęczony.

- Zmęczony? Ile masz teraz lat? Osiemnaście? Jak się ma osiemnaście lat, to nie wie się, co to zmęczenie.

Ciocia Róża potrafi czasem coś tak powiedzieć, że człowiek dostaje kopa.

Zapadł wieczór, w półmroku wszystkie odgłosy rozbrzmiewały głośniejsz, a w linoleum korytarza odbijał się blask księżyca.

Wszedłem do Peggy i wręczyłem jej mój odtwarzacz.

- Masz. Posłuchaj „Walca śnieżynek”. Jest taki ładny, że kiedy go słucham, myślę o tobie.

Peggy wysłuchała „Walca śnieżynek”. Uśmiechała się, jakby ta melodia była jej starą koleżanką szepczącą jej do ucha śmieszne rzeczy.

Zwróciła mi aparat i powiedziała:

- Piękny.

To było jej pierwsze słowo. Fajne, nie uważasz?

- Peggy Blue, chciałbym ci coś powiedzieć: nie chcę, żeby cię operowano. Wyglądasz bardzo ładnie. Do twarzy ci w niebieskim.

Widziałem, że sprawia jej to przyjemność. Nie dlatego to powiedziałem, ale jasne było, że jest zadowolona.

- Chcę, żebyś to ty, Oskarze, bronił mnie przed duchami. - Możesz na mnie liczyć, Peggy.

Byłem cholernie dumny. W końcu to ja wygrałem!

- Pocałuj mnie.

Pocałunki to jakaś obsesja u dziewczyn, naprawdę muszą tego potrzebować. Ale Peggy, w przeciwieństwie do Chinki, nie jest zboczona, nadstawiła policzek i muszę przyznać, że zrobiło mi się ciepło, kiedy ją całowałem.

- Dobranoc, Peggy.

- Dobranoc, Oskarze.

I tak, Panie Boże, wyglądał mój dzień. Rozumiem teraz, że dorastanie to tak zwany niewdzięczny wiek. Bo naprawdę jest ciężko. Ale w końcu, kiedy się dojdzie do dwudziestki, wszystko się jakoś układa. Więc przedstawiam Ci moją dzisiejszą prośbę: chciałbym, żebyśmy się z Peggy pobrali. Nie jestem pewien, czy małżeństwo należy do spraw duchowych, czy to Twoja branża. Czy spełniasz takie życzenia, trochę jak agencja matrymonialna? Jeśli nie masz tego w ofercie, powiedz mi szybko, żebym mógł zwrócić się do właściwej osoby. Nie chciałbym Cię pospieszać, ale przypominam, że nie mam dużo czasu. A więc: małżeństwo Oskara z Peggy Blue. Tak albo nie. Zorientuj się, co się da zrobić, bardzo by mnie to urządziło.

Do jutra, całusy, Oskar.

PS: Jaki właściwie jest Twój adres?

Szanowny Panie Boże,

Załatwione, jesteśmy małżeństwem. Dzisiaj dwudziesty pierwszy grudnia, zbliżam się do trzydziestki i właśnie się ożeniłem. Jeśli chodzi o dzieci, postanowiliśmy z Peggy Blue, że pomyślimy o nich później. Szczerze mówiąc, sądzę, że nie jest jeszcze gotowa.

To się stało dziś w nocy.

Okolo pierwszej usłyszałem krzyki Peggy Blue. Od razu usiadłem na łóżku. Duchy! Duchy znęcają się nad Peggy Blue, a przecież obiecałem, że będę jej pilnować. Zobaczy, że jestem dupkiem, więcej się do mnie nie odezwie i będzie miała rację.

Wstałem i poszedłem w stronę wrzasków. Kiedy znalazłem się przed pokojem Peggy, zobaczyłem, że siedzi na łóżku i patrzy na mnie zdziwiona. Ja też pewnie miałem zdziwioną minę, bo przede mną siedziała Peggy Blue z zamkniętymi ustami, a przecież wciąż słyszałem krzyki.

Wtedy ruszyłem do następnych drzwi i zrozumiałem, że to Bekon wije się z bólu w łóżku z powodu swoich oparzeń. Przez chwilę zrobiło mi się głupio, pomyślałem o dniu, w którym podpaliłem dom, kota, psa, kiedy nawet upiekłem złote rybki - to znaczy myślę, że raczej się; ugotowały - pomyślałem o tym, co przeżyli, i powiedziałem sobie, że w sumie chyba lepiej, że nie żyją, niż gdyby mieli cierpieć tak jak Bekon mimo przeszczepów i kremów.

Bekon zwinął się w kłębek i przestał jęczeć. Wróciłem do Peggy Blue.

- Więc to nie ty, Peggy. Zawsze myślałem, że to ty krzyczysz w nocy.

- A ja myślałam, że ty.

Byliśmy strasznie przejęci tym, co się dzieje, i tym, co sobie mówimy: okazało się, że od dawna o sobie myśleliśmy.

Peggy Blue zrobiła się jeszcze bardziej niebieska, co oznaczało u niej, że jest skrępowana.

- Co teraz zrobisz, Oskar?

- A ty, Peggy?

Niesamowite, ile mamy wspólnych punktów - te same myśli, te same pytania.

- Chcesz ze mną spać?

Dziewczyny są obłądne. Ja zastanawiałbym się godzinami, tygodniami, miesiącami, zanim bym wypowiedział takie zdanie. Ona rzuciła je najnaturalniej w świecie, jak gdyby nigdy nic.

- O.K.

I wszedłem do jej łóżka. Było nam trochę ciasno, ale spędziliśmy cudowną noc. Peggy Blue pachnie orzechami laskowymi i ma skórę tak gładką jak ja pod pachami, z tym że u niej tak jest wszędzie. Dużo spaliśmy, dużo marzyliśmy, leżeliśmy blisko siebie, przytuleni, opowiedzieliśmy sobie swoje życie.

Oczywiście rano, kiedy pani Gommette, przełożona pielęgniarek, znalazła nas razem, zrobił się niezły cyrk. Zaczęła strasznie krzyczeć, pielęgniarka z nocnego dyżuru także zaczęła krzyczeć, krzyczały jedna na drugą, potem na Peggy, potem na mnie, trzaskały drzwi, one brały innych na

świadków, nazywały nas „nieszczęsnymi dziećmi”, chociaż byliśmy bardzo szczęśliwi, i w końcu musiała przyjść ciocia Róża, żeby zakończyć przedstawienie.

- Odczepicie się wreszcie od tych dzieci? - zapytała. - O kogo się macie troszczyć, o pacjentów czy o przepisy? Ja mam w nosie przepisy, olewam je. A teraz cisza. Idźcie się kłócić gdzie indziej. To nie jest właściwe miejsce.

Na to nie było odpowiedzi, jak zawsze, kiedy ciocia Róża coś powie. Zaprowadziła mnie do pokoju i trochę się zdrzemnąłem.

Kiedy się obudziłem, mogliśmy porozmawiać.

- Więc to poważna sprawa, ty i Peggy?

- Jeszcze jak, ciociu. Jestem cholernie szczęśliwy. Pobraliśmy się dzisiaj w nocy.

- Pobraliście się?

- Tak. Robiliśmy wszystko, co robią mężczyzna, i kobieta, kiedy są małżeństwem.

- Tak?

- A co ty sobie myślisz? Która to teraz godzina? - skończyłem dwadzieścia lat i mam swoje życie, no nie?

- Jasne.

- Poza tym, wyobraź sobie, wszystko, co dawniej, kiedy byłem młody, wydawało mi się ohydne, na przykład pocałunki, pieszczoty, teraz mi się podoba. Niesamowite, jak człowiek się zmienia, prawda?

- Bardzo się cieszę, Oskarze. Doroślejesz.

- Jednego tylko nie zrobiliśmy, pocałunku z języczkiem. Peggy Blue bała się, że od tego może zająć w ciążę. Jak sądzisz?

- Myślę, że ma rację.

- Tak? Można mieć dzieci, jeśli pocałuje się kogoś w usta? W takim razie będę miał dzieci z Chinką.

- Nie martw się, Oskarze, to mało prawdopodobne. Bardzo mało.

Ciocia Róża sprawiała wrażenie, że jest pewna tego, co mówi, więc trochę się uspokoiłem, bo przyznam Ci się, Panie Boże, ale tylko Tobie, że z Peggy Blue raz, dwa, a może i więcej, wsunęliśmy jednak język.

Trochę pospałem. Potem zjedliśmy z ciocią Różą obiad i poczułem się lepiej.

- Niesamowite, jak zmęczony byłem dzisiaj rano.

- To normalne, między dwudziestym a dwudziestym piątym rokiem życia często wychodzi się po nocach, baluje, prowadzi hulaszczkie życie.

Za to wszystko trzeba potem płacić. To co, pójdziemy odwiedzić Pana Boga?

- Masz babo placek! A wiesz, gdzie mieszka?

- Myślę, że jest w kaplicy.

Ciocia Róża ubrała mnie, jakbyśmy się wybierali na biegun północny, mocno mnie uścisnęła i zaprowadziła do kaplicy, która stoi w głębi szpitalnego parku za oszronionymi teraz trawnikami, zresztą nie muszę Ci tłumaczyć, gdzie, skoro to jest Twój dom.

Kompletnie zbaraniałem, kiedy zobaczyłem Twój posąg, stan, w jakim

się znajdujesz, przykuty do krzyża., prawie goły, wychudzony, z ranami na ciele, twarzą, po której spływa krew od cierni i głową ledwie trzymającą się na szyi. Pomyślałem o sobie. I zezłościłem się. Gdybym był Bogiem, jak Ty, na pewno nie dałbym się tak załatwić.

- Ciociu Rózo, porozmawiajmy poważnie: ty, która jesteś zawodniczką, która byłaś wielką mistrzynią, nie powiesz mi chyba, że w coś takiego wierzysz!

- Dlaczego, Oskarze? Czy łatwi ej byłoby ci uwierzyć, że to Pan Bóg, gdybyś zobaczył kulturystę w kokieteryjnych slipkach, z misternie wyrzeźbionym torsem, wydatnymi mięskami, błyszczącą od oliwy skórą i krótko obciętymi włosami?

- No...

- Zastanów się, Oskarze. Który z nich wydaje ci się bliższy? Bóg, który nic nie czuje, czy Bóg, który cierpi?

- Ten, który cierpi, oczywiście. Ale gdybym był nim, gdybym był Bogiem, gdybym miał takie możliwości jak on, uniknąłbym cierpienia.

- Nikt nie może uniknąć cierpienia. Ani Bóg, ani ty. Ani twoi rodzice, ani ja.

- No, dobrze. Ale dlaczego cierpimy?

- Właśnie. Jest cierpienie i cierpienie. Popatrz uważnie na jego twarz. Przyjrzyj mu się. Widać po nim, że cierpi?

- Nie. To ciekawe. W ogóle po nim nie widać.

- Bo są dwa rodzaje bólu, Oskarku. Cierpienie fizyczne i cierpienie duchowe - Cierpienie fizyczne się znosi. Cierpienie duchowe się wybiera. Rozumem.

- Jeśli wbijają ci gwoździe w nadgarstki i stopy, nie masz innego wyjścia, musisz odczuwać ból. Znosisz go. Natomiast myśl o śmierci nie musi powodować bólu. Nie wiesz, czym jest. Wszystko zależy od ciebie.

- A znasz ludzi, którzy cieszą się na myśl o tym, że umrą?

- Owszem, znam. Na przykład moja matka. Na łożu śmierci łakomie się uśmiechała, niecierpliwiała się, spieszo jej było zobaczyć, co będzie potem.

Nie znajdowałem więcej argumentów. A ponieważ chciałem usłyszeć, co dalej, przez chwilę milczałem, zastanawiając się nad tym, co mi powiedziała.

- Jednak większość ludzi nie ma w sobie tej ciekawości. Czepiają się tego, co mają, jak wesz w ucho tysego. Weź na przykład taką Plum Pudding, moją irlandzką rywalkę, sto pięćdziesiąt kilo na czczo, w figach, przed wypiciem pierwszego guinnessa. Zawsze mi powtarzała: „Przykro mi, ja nie umrę, nie zgadzam się, niczego nie podpisywałam”. Oszukiwała się. Nikt jej nie obiecywał, że życie będzie trwać wiecznie! Jednak z uporem w to wierzyła, buntowała się, nie dopuszczała do siebie myśli, że umrze, wściekała się, wpadła w depresję, schudła, odeszła z zawodu, ważyła już tylko trzydzieści pięć kilo, wyglądała jak patyczek i w końcu umarła. Widzisz, umarła jak wszyscy, ale myśl o tym, że umrze, zatrzymała jej życie.

- Głupia była ta Plum Pudding, ciociu.

- Jak but. Ale butów jest niezliczona ilość. Są bardzo rozpowszechnione.

Też kiwnąłem głową, bo w sumie się z nią zgadzałem.

- Ludzie boją się umierać, bo odczuwają lęk przed nieznanym. Ale właśnie, co to jest nieznanne? Proponuję ci, Oskarze, żebyś się nie bał, żebyś był ufny. Spójrz na twarz Pana Boga na krzyżu: znosi cierpienie fizyczne, ale nie cierpi duchowo, bo ufa. I nawet gwoździe już mu tak nie doskwierają. Powtarza sobie: boli mnie, ale nie ma w tym nic złego. To są korzyści, które przynosi wiara. I to właśnie chciałam ci pokazać.

- O.K., ciociu Różo, jak będę miał pietra, zmuszę się, żeby wierzyć.

Pocałowała mnie. Ostatecznie dobrze czuliśmy się w tym pustym kościele z Tobą, Boże, który wyglądałeś tak spokojnie.

Po powrocie długo spałem. Coraz częściej chce mi się spać. Kiedy się obudziłem, powiedziałem do cioci Róży:

- Właściwie nie boję się nieznanego. Tylko trochę szkoda mi tracić to, co znam.

- Tak samo jest ze mną, Oskarze. Co byś powiedział na to, żebyśmy zaprosili Peggy Blue na herbatę?

Peggy Blue wypita z nami herbatę, polubiły się z ciocią Różą i nieźle się uśmialiśmy, kiedy ciocia opowiedziała nam o swojej walce z Siostrami Siuškami, trojaczkami, które udawały, że są jedną. Po każdej rundzie Siuška, która zmęczyła przeciwniczkę, skacząc na nią ze wszystkich stron, schodziła z ringu, żeby rzekomo zrobić siusiu, i biegła do toalety, a wracała jej siostra, w pełnej formie, gotowa do dalszej walki. I tak dalej. Wszyscy myśleli, że jest tylko jedna Siuška, i że taka z niej niezmordowana zawodniczka. Ciocia Róża odkryła, co jest grane, zamknęła obie zastępczynie w ubikacji, wyrzuciła klucz przez okno i pokonała tę, która została. Zapasy to niegłupi sport. Potem ciocia Róża sobie poszła. Pielęgniarki pilnują Peggy Blue i mnie, jakbyśmy byli pociskami mogącymi w każdej chwili wybuchnąć. A przecież mam trzydzieści lat, do cholery! Peggy Blue przysięgła mi, że dziś wieczór to ona przyjdzie do mnie, jak tylko będzie mogła, a ja przysięgłem jej, że tym razem nie będę jej wkładał języka.

Bo fakt, że to nie sztuka mieć dzieci, ale trzeba jeszcze mieć czas, żeby je wychować.

To tyle, Panie Boże. Nie wiem, o co Cię prosić dziś wieczorem, bo to był piękny dzień. Chociaż tak. Spraw, żeby jutrzejsza operacja Peggy Blue przebiegła pomyślnie. Nie tak jak moja, jeśli rozumiesz, co chcę powiedzieć.

Do jutra, całusy, Oskar.

PS: Operacje to nie są sprawy duchowe może nie masz tego na składzie. Więc spraw, żeby niezależnie od tego, jaki będzie wynik operacji, Peggy Blue dobrze go przyjęła. Liczę na Ciebie.

Szanowny Panie Boże,

Peggy Blue była dzisiaj operowana. Przeżyłem dziesięć strasznych lat. Ciężko jest być trzydziestolatkiem, to czas pełen trosk i obowiązków.

Ostatecznie Peggy Blue nie mogła przyjść do mnie dzisiaj w nocy, bo pani Ducru, dyżurna pielęgniarka, została z nią w pokoju, żeby przygotować Peggy do narkozy. Zabrano ją koło ósmej. Serce mi się ścisnęło na widok Peggy, kiedy ją przewożono na wózku; jest taka mała i szczuplutka, że ledwie ją było widać spod szmaragdowych prześcieradeł.

Ciocia Róża trzymała mnie za rękę, żebym się nie denerwował.

- Czemu twój Pan Bóg, ciociu, pozwala, żeby istnieli tacy ludzie jak Peggy i ja?

- Całe szczęście, że powołuje was do życia, Oskarzu, bo bez was świat nie byłby taki piękny.

Nie. Nie rozumiesz. Dlaczego Pan Bóg pozwala, żebyśmy byli chorzy? Albo jest zły, albo nie jest aż taki mocny.

- Od razu widać, że nie jesteś chora!

- Co możesz o tym wiedzieć?

Kompletnie mnie zatkało. Nigdy nie pomyślałem, że ciocia Róża, która zawsze ma czas i jest taka troskliwa, może też mieć jakieś problemy.

- Nie musisz nic przede mną ukrywać, ciociu, możesz mi wszystko powiedzieć. Mam co najmniej trzydzieści dwa lata, raka, żonę na sali operacyjnej, więc znam trochę życie.

- Kocham cię, Oskarzu.

- Ja ciebie też. Co mogę dla ciebie zrobić, jeśli masz jakieś kłopoty? Chcesz, żebym cię adoptował?

- Adoptował?

- Tak, adoptowałem już Bernarda, kiedy zobaczyłem, że ma chandrę.

- Bernarda?

- Mojego miśka. O tam! Leży w szafie. Na półce. To mój stary misiek, nie ma już oczu ani buzi, ani nosa, stracił połowę waty, którą był wypchany, i wszędzie ma pełno blizn. Trochę do ciebie podobny. Adoptowałem go tego wieczoru, kiedy ci idioci, moi rodzice, przynieśli mi nowego miśka. Jakbym mógł zgodzić się na to, że będę miał nowego miśka! Szkoda, że przy okazji mnie też nie zamienili na całkiem nowego braciszka! Wtedy go adoptowałem. I jemu, Bernardowi, zapiszę wszystko, co mam. Ciebie też chciałbym zaadoptować, jeżeli to cię uspokoi.

- Tak. Bardzo chętnie. Myślę, że to by mnie uspokoiło, Oskarzu.

- To przybij piąchę, ciociu.

Potem poszliśmy przygotować pokój Peggy, położyć czekoladki i postawić kwiaty, żeby czekały na nią, jak wróci.

Potem znowu spałem. Niesamowicie, ile ja teraz śpiam.

Przed wieczorem ciocia Róża obudziła mnie, mówiąc, że Peggy Blue jest już z powrotem i że operacja się udała.

Poszliśmy razem ją odwiedzić. Przy łóżku stali jej rodzice. Nie wiem, kto ich uprzedził, Peggy czy ciocia Róża, ale wyglądało na to, że wiedzą, kim

jestem, traktowali mnie z dużym szacunkiem, postawili dla mnie krzesło między sobą, tak że mogłem posiedzieć przy żonie razem z teściami.

Cieszyłem się, bo Peggy wciąż była niebieskawa. Doktor Dusseldorf zajrzał na chwilę, potarł sobie brwi i powiedział, że za parę godzin to się zmieni. Spojrzałem na matkę Peggy, która nie jest niebieska, a mimo to jest bardzo ładna i pomyślałem, że właściwie moja żona Peggy może mieć kolor, jaki zechce, a ja i tak będę ją kochał.

Peggy otworzyła oczy, uśmiechnęła się do nas, do mnie, do swoich rodziców, a potem znowu zasnęła.

Jej rodzice byli spokojni, ale musieli jechać.

- Powierzamy ci naszą córkę - powiedzieli mi. - Wiemy, że możemy na ciebie liczyć.

Z ciocią Różą poczekaliśmy, aż Peggy otworzy oczy po raz drugi, a potem poszedłem do siebie odpocząć.

Kończąc ten list, zdaję sobie sprawę, że ostatecznie dzisiejszy dzień przeszedł dobrze. Pod znakiem rodziny. Adoptowałem ciocię Różę, zaprzyjaźniłem się z teściami i odzyskałem żonę w dobrym zdrowiu, chociaż około jedenastej zrobiła się różowa.

Do jutra, całusy, Oskar.

PS: Dzisiaj Cię o nic nie proszę. Będziesz mógł sobie odpocząć.



Szanowny Panie Boże,

Dzisiaj miałem między czterdzieści a pięćdziesiąt lat i narobiłem mnóstwo głupstw.

Opowiem Ci o tym krótko, bo szkoda czasu. Peggy Blue czuje się dobrze, ale ta Chinka nasłana przez Pop Corna, która teraz nie może mnie ścierpieć, przyszła do niej i wypaplała, że pocałowałem ją w usta.

No i Peggy powiedziała mi, że między nami wszystko skończone. Protestowałem, mówiłem jej że z Chinką to był błąd młodości, że to było na długo przed nią i że nie może do końca życia wypominać mi przeszłości.

Ale ona była nieugięta. Zaprzyjaźniła się nawet z Chinką, żeby mi zrobić na złość, i słyszałem, jak razem chichoczą.

Więc kiedy Brigitte, ta z downem, która zawsze się do wszystkich klei, bo u mongołów to normalne, są bardzo uczuciowi, przyszła do mnie przywitać się, pozwoliłem jej całować się wszędzie. Szalała z radości, że jej pozwalałam. Zachowywała się jak pies, który wita swojego pana. Problem tylko w tym, że na korytarzu był Einstein, który może ma wodę w mózgu, ale na pewno nie ma kłapek na oczach. Wszystko widział i zaraz poszedł opowiedzieć Peggy i Chince. Wszyscy na piętrze mówią teraz, że latam za kobietami, a przecież nawet nie ruszyłem się z pokoju.

- Nie wiem, co mnie podkuśiło, ciociu, z Brigitte...

- Tak zwany demon południa, Oskarze. Dopada mężczyzn między czterdziestym piątym a pięćdziesiątym rokiem życia: chcą się upewnić, sprawdzić, czy podobają się jeszcze innym kobietom oprócz tej, którą kochają.

- No dobrze, jestem normalny, ale też baran ze mnie, no nie!

- Tak. Jesteś najzupełniej normalny.

- Co powinienem zrobić?

- Kogo kochasz?

- Peggy. Tylko Peggy.

- To powiedz jej. Pierwszy związek jest zawsze bardzo kruchy, podatny na różne wstrząsy, ale jeśli jest dobry, trzeba walczyć o jego zachowanie.

Jutro, Panie Boże, jest Boże Narodzenie. Nigdy nie kojarzyłem, że to są Twoje urodziny. Spraw, żebym pogodził się z Peggy, bo nie wiem, czy to z tego powodu, ale jestem dziś wieczór bardzo smutny i w ogóle nic mi się nie chce.

Do jutra, całusy, Oskar.

PS: Teraz, kiedy już jesteśmy kumplami, co chcesz dostać ode mnie na urodziny?

Szanowny Panie Boże,

Dzisiaj rano, o ósmej, powiedziałem Peggy Blue, że kocham ją, tylko ją i że nie wyobrażam sobie życia bez niej. Rozpłakała się, wyznała, że zdejmuję jej z serca wielki ciężar, bo ona też kocha tylko mnie i na pewno już nigdy nikogo nie znajdzie, zwłaszcza teraz, kiedy jest różowa.

Wtedy, ciekawa rzecz, zaczęliśmy oboje płakać, ale to było bardzo przyjemne. Fajne jest życie we dwoje. Szczególnie po pięćdziesiątce, kiedy ma się za sobą różne przejścia.

Gdzieś o dziesiątej, dotarło do mnie, że naprawdę jest Boże Narodzenie, że nie będę mógł być razem z Peggy, bo zwali się do niej cała rodzina: bracia, wujkowie, kuzyni, pociotki, i będę skazany na towarzystwo swoich rodziców. Co mi znowu podarują? Składające się z osiemnastu tysięcy kawałków puzzle? Książki po kurdyjsku? Pudełko z instrukcjami obsługi? Mój portret z czasów, kiedy byłem zdrowy? Po tych dwojgu kretykach, którzy nie mają więcej rozumu niż worek na śmieci, można się było wszystkiego spodziewać, ale jednego mogłem być pewien: że spędzę beznadziejny dzień.

Zdecydowałem się bardzo szybko i zorganizowałem ucieczkę. Parę transakcji: zabawki dla Einsteina, puchówka dla Bekona, cukierki dla Pop Corna. Prosta obserwacja: ciocia Róża zawsze wychodziła przez szatnię. Łatwe do przewidzenia: rodzice nie dojadą przed południem. Wszystko poszło jak z płatka: o wpół do dwunastej ciocia Róża pocałowała mnie, życząc pięknego świątecznego dnia z rodzicami, a potem zniknęła na piętrze, gdzie znajdują się szatnie. Zagwizdałem. Pop Corn, Einstein i Bekon szybko mnie ubrali, przetransportowali na dół i zanieśli do gabloty cioci Róży, samochodu, który pochodzi chyba jeszcze z czasów przed wynalezieniem samochodu. Pop Corn, który ma dryg do otwierania zamków, bo miał szczęście wychowywać się w biednym osiedlu, otworzył drutem tylne drzwi, po czym rzucili mnie na podłogę między przednimi a tylnymi siedzeniami i niezauważeni przez nikogo wrócili do budynku.

Po dłuższej chwili ciocia Róża wsiadła do samochodu, kilkanaście razy próbowała zapalić dychawiczny silnik, aż wreszcie ruszyliśmy strasznie szybko. Genialne są te samochody sprzed wynalezienia samochodu: robią taki hałas, że wydaje się człowiekowi, że jedzie bardzo szybko, i trzęsą nie mniej niż w wesołym miasteczku.

Z tym tylko, że ciocia Róża uczyła się chyba jeździć z jakimś kaskaderem: nie zwracała uwagi na światła, na ronda ani na krawężniki, tak że od czasu do czasu samochód wylatywał w powietrze. W kabinie strasznie rzucało, ciocia dużo trąbiła, a i pod względem słownictwa mogłem się nieźle podkształcić: miotała najstraszniejsze obelgi pod adresem wrogów, którzy tarasowali jej drogę, i pomyślałem sobie raz jeszcze, że zapasy to naprawdę dobra szkoła życia.

Miałem zamiar po przyjeździe na miejsce wyskoczyć z samochodu i zawołać: „A kuku, ciociu Różo!”, ale ten rajd trwał tak długo, że chyba zasnąłem.

W każdym razie, kiedy się obudziłem, było ciemno, zimno i cicho, a ja

leżałem sam na wilgotnym dywaniku. Wtedy po raz pierwszy pomyślałem sobie, że może zrobiłem głupstwo.

Wysiadłem z samochodu i wtedy zaczął padać śnieg. Ale nie był taki przyjemny jak w „Walcu śnieżynek” z Dziadka do orzechów. Zęby szczękały mi jak nie wiem co.

Zobaczyłem duży oświetlony dom. Poszedłem w jego kierunku. Z trudem. Żeby dosięgnąć dzwonka, musiałem podskoczyć tak wysoko, że padłem jak długi na wycieraczkę.

Tam właśnie znalazła mnie ciocia Róża.

- Ale... ale... - zaczęła.

A potem pochyliła się nade mną i szepnęła:

- Mój kochany.

Wtedy pomyślałem sobie, że może jednak nie zrobiłem głupstwa.

Zaniosła mnie do salonu, gdzie stała wielka mrugająca choinka. Byłem zdziwiony, widząc, jak u niej w domu jest ładnie. A przede wszystkim, jak bogato. Bo kiedy spotka się kogoś miłego, zwykle myśli się, że jest biedny.

Ogrzała mnie przy kominku i wypiliśmy po dużej filiżance czekolady. Domyślałem się, że zanim na mnie nakrzyczy, chce być pewna, że się dobrze czuję. Więc nie spieszyłem się z odzyskiwaniem dobrego samopoczucia, co zresztą przychodziło mi łatwo, bo w tej chwili jestem naprawdę bardzo słaby.

- Wszyscy w szpitalu cię szukają, Oskarze. Pełna mobilizacja. Twoi rodzice są zrozpaczeni. Zawiadomili policję.

- To do nich podobne. Myślą, że ich pokocham, kiedy zakują mnie w kajdanki...

- Co masz im do zarzucenia?

- Boją się mnie. Boją się ze mną rozmawiać. A im bardziej się boją, tym bardziej mam wrażenie, że jestem potworem. Dlaczego ich tak przerażam? Jestem aż taki brzydki? Śmierdzę? Kompletnie zidiociałem?

- Nie boją się ciebie, Oskarze. Boją się choroby.

- Choroba jest częścią mnie. Nie muszą zachowywać się inaczej, dlatego że jestem chory, chyba że mogą kochać tylko zdrowego Oskara?

- Kochają cię, Oskarze. Powiedzieli mi to.

- Rozmawiasz z nimi?

- Tak. Są bardzo zazdrośni o to, że się tak dobrze rozumiemy. To znaczy może nie zazdrośni. Smutni. Smutni, że im się nie udaje.

Wzruszyłem ramionami, ale złość trochę mi przeszła. Ciocia Róża zrobiła mi drugą gorącą czekoladę.

- Wiesz, Oskarze, umrzesz któregoś dnia. Ale twoi rodzice także umrą.

Zdziwiło mnie to, co mówi. Nigdy dotąd o tym nie myślałem.

- Tak. Oni też kiedyś umrą. Samotnie. Ze strasznymi wyrzutami sumienia, że nie udało im się pogodzić ze swoim jedynym dzieckiem, Oskarem, którego bardzo kochali.

- Nie mów mi takich rzeczy, ciociu, bo dostanę chandry.

- Pomyśl o nich, Oskarze. Zrozumiałeś, że umrzesz, bo jesteś inteligentnym chłopcem. Nie rozumiałeś jednak, że nie ty jeden. Wszyscy kiedyś umrzemy. Twoi rodzice. Ja.

- Tak. Ale ja pierwszy.

- To prawda. Ty pierwszy. Ale czy z tego powodu wszystko ci wolno? Czy wolno ci zapominać o innych?

- Zrozumiałem, ciociu. Zadzwoń do nich.

A teraz, Panie Boże, w paru słowach o tym, co było dalej, bo boli mnie już ręka. Ciocia Róża zawiadomiła szpital, a szpital zawiadomił moich rodziców, którzy przyjechali do cioci Róży i wszyscy razem świętowaliśmy Boże Narodzenie.

Kiedy przyjechali moi rodzice, powiedziałem im:

- Przepraszam, zapomniałem, że wy też kiedyś umrzecie.

Nie wiem, co w nich to zdanie odblokowało, ale potem zrobili się tacy jak dawniej i spędziliśmy naprawdę superowski świąteczny wieczór.

Przy deserze ciocia Róża chciała obejrzeć w telewizji pasterkę, a także turniej zapasów, który wcześniej nagrała. Powiedziała, że od lat przed pasterką ogląda zapasy, na rozgrzewkę, że to stare przyzwyczajenie i że sprawiłoby jej to przyjemność. No więc wszyscy obejrzeliśmy walkę, którą sobie odłożyła. To było coś fantastycznego. Mefista kontra Joanna d'Arc! Kostiumy kąpielowe i botki aż do pępka! Zuch-dziewczyny! - jak stwierdził tata, który był cały czerwony i któremu zapasy najwyraźniej bardzo się podobają. Każda dostała po głowie niezliczoną ilość razy. Ja w takiej walce bym już sto razy umarł. To kwestia wprawy, powiedziała mi ciocia Róża, im więcej dostajesz po buzi, tym więcej możesz wytrzymać. Nie wolno tracić nadziei. Ostatecznie wygrała Joanna d'Arc, chociaż na początku nic na to nie wskazywało: pewnie się ucieszyłeś.

A tak w ogóle, to wszystkiego najlepszego z okazji Twoich urodzin, Panie Boże. Ciocia Róża położyła mnie spać w łóżku swojego najstarszego syna, który był w Kongo weterynarzem i leczył słonie, i powiedziała mi przed chwilą, że moje pojednanie z rodzicami to świetny prezent urodzinowy dla Ciebie. Ja tam uważam, że jest dość byle jaki. Ale skoro ciocia Róża, która jest Twoją starą kumpelką, tak twierdzi...

Do jutra, całusy, Oskar.

PS: Byłbym zapomniał o życzeniu: niech moi rodzice będą zawsze tacy, jak dzisiaj wieczór. I ja też. To były fajne Święta. Szczególnie Mefista kontra Joanna d'Arc. Przykro mi z powodu Twojej mszy, film urwał mi się wcześniej.

Szanowny Panie Boże,

Dziś mam już skończone sześćdziesiąt lat i płacę rachunek za wczorajsze ekscesy. Nie jestem w najlepszej formie.

Z przyjemnością wróciłem do domu, do szpitala. Tak to już jest z człowiekiem, że na starość nie za bardzo lubi podróżować. W każdym razie ja już nie mam ochoty nigdzie się stąd ruszać.

Nie powiedziałem Ci w moim wczorajszym liście, że u cioci Róży na półce przy schodach stoi figurka Peggy Blue. Przysięgam Ci. Dokładnie taka sama, z gipsu, z tą samą słodką twarzyczką i tym samym błękitem na ubraniu i skórze. Ciocia Róża twierdzi, że to Maryja, Twoja matka, z tego, co zrozumiałem, rodzinna pamiątka. Zgodziła się mi ją dać. Postawiłem ją na stoliku przy łóżku. I tak pewnego dnia wróci do rodziny cioci Róży, ponieważ ją adoptowałem.

Peggy Blue czuje się lepiej. Przyjechała mnie odwiedzić na wózku. Nie rozpoznała się w figurce, ale spędziliśmy razem miłe chwile. Słuchaliśmy Dziadka do orzechów, trzymając się za ręce, i przypomniały nam się dawne czasy.

Nie będę Ci już długo opowiadał, bo pióro zrobiło się jakieś ciężkie. Wszyscy są tutaj chorzy, nawet doktor Dusseldorf, od tych wszystkich czekoladek, gęsich wątróbek, kasztanów w cukrze i szampana, które rodzice masowo dawali lekarzom i personelowi. Bardzo bym chciał, żebyś mnie odwiedził.

Całusy, do jutra, Oskar.

Szanowny Panie Boże,

Dziś miałem między siedemdziesiąt a osiemdziesiąt lat, i zastanawiałem się nad wieloma rzeczami.

Najpierw zająłem się prezentem, który ciocia Róża dała mi pod choinkę. Nie pamiętam, czy Ci o nim mówiłem. To roślina z pustyni Sahara, która przeżywa całe swoje życie w ciągu jednego dnia.. Jak tylko ziarno wchłonie trochę wody, od razu puszcza, pąki, staje się łodygą, dostaje liści, rozkwita, wytwarza nasiona, więdnie, kurczy się i hop, wieczorem jest już po wszystkim. To był genialny prezent, dziękuję, że coś takiego wymyśliłeś. Podlaliśmy ją rano, o siódmej, ciocia Róża, rodzice i ja - nie pamiętam, czy Ci mówiłem, mieszkają teraz u cioci Róży, bo to bliżej - i mogłem prześledzić cały jej żywot. Byłem wzruszony. Fakt, że to mały rachityczny kwiatek - w niczym nie przypomina baobaba - ale dzielnie, na naszych oczach, w jeden dzień, nie przerywając ani na chwilę, wypełnił całą swoją roślinną misję.

Z Peggy Blue często czytywaliśmy Słownik medyczny, to jej ulubiona książka. Peggy pasjonuje się chorobami i wciąż się zastanawia, jakie jeszcze będzie mogła mieć w przyszłości. Ja próbowałem znaleźć słowa, które mnie ciekawiły: „Życie”, „Śmierć”, „Wiara”, „Bóg”. Uwierzysz mi albo nie, ale ich tam nie było! Zauważ, to tylko dowodzi, że ani życie, ani śmierć, ani wiara, ani Ty nie jesteście chorobami. Co jest poniekąd pocieszające. Ale jednak w takiej ważnej książce powinny być odpowiedzi na najważniejsze pytania, no nie? - Ciociu Różo, mam wrażenie, że w Słowniku medycznym są tylko rzeczy bardzo konkretne, kłopoty, które mogą spotkać tego czy innego człowieka. Nie ma tam nic o sprawach, które dotyczą nas wszystkich, takich jak Życie, Śmierć, Wiara, Bóg.

- Powinieneś zajrzeć do Słownika filozofii, Oskarze. Tam znajdziesz słowa, których szukasz, ale boję się, że też będziesz rozzarowany. Jest wiele bardzo różnych definicji na każde z tych pojęć.

- Jak to możliwe?

- Najciekawsze pytania wciąż pozostają pytaniami. Kryją w sobie tajemnicę. Do każdej odpowiedzi trzeba dodać „być może”. Tylko na nieciekawe pytania można udzielić ostatecznych odpowiedzi.

- Chcesz powiedzieć, że dla „Życia” nie ma rozwiązania?

- Chcę powiedzieć, że dla „Życia.” jest kilka rozwiązań, a więc nie ma żadnego.

- A ja myślę, ciociu, że dla życia nie ma innego rozwiązania niż żyć.

Zajrzał do nas doktor Dusseldorf Miał, jak zwykle, minę zbitego psa, która sprawia, że ze swoimi czarnymi krzaczastymi brwiami wygląda jeszcze bardziej malowniczo.

- Czesze pan sobie brwi, panie doktorze? - zapytałem.

Rozejrzał się wokół siebie, zaskoczony, jakby chciał spytać cioci Róży, moich rodziców, czy dobrze usłyszał. W końcu, zdławionym głosem, powiedział: tak.

- Niech pan nie robi takiej miny, doktorze Dusseldorf. Będę z panem szczery, bo zawsze uczciwie brałem lekarstwa, a pan skrupulatnie próbował

zwalczyć moją chorobę. Niech pan się nie zachowuje, jakby czuł się winny. To nie pana wina, że musi pan oznajmiać ludziom złe nowiny, choroby o łacińskich nazwach i to, że nie ma ratunku. Niech pan sobie odpuści. Niech pan się wyluzuje. Nie jest pan Panem Bogiem. To nie pan rozkazuje naturze. Pan tylko stara się naprawiać. Niech pan trochę wyhamuje, doktorze Dusseldorf, przestanie się tak przejmować, nabierze trochę pokory, bo inaczej nie będzie pan mógł długo wykonywać tego zawodu. Proszę spojrzeć, jak pan wygląda.

Słuchając mnie, doktor Dusseldorf miał usta otwarte, jakby połykał jajko. Potem uśmiechnął się, tak naprawdę, i pocałował mnie.

- Masz rację, Oskarze. Dziękuję, że mi to powiedziałeś.

- Nie ma za co, panie doktorze. Do usług. Niech pan przyjdzie, kiedy pan zechce.

To tyle, Panie Boże. Wciąż czekam, aż mnie odwiedzisz. Przyjdź. Nie wahaj się ani chwili. Mimo że mam teraz wielu gości, bardzo bym się ucieszył.

Do jutra, całusy, Oskar.

Szanowny Panie Boże,

Peggy Blue opuściła szpital. Wróciła do domu. Nie jestem głupi, wiem, że już nigdy jej nie zobaczę.

Nie będę do Ciebie pisał, dlatego że mi smutno. Przeżyliśmy razem życie, Peggy i ja, a teraz zostałem sam i leżę w łóżku łysy, stary i zmęczony. Ohydnie jest się starzeć.

Dzisiaj przestałem Cię lubić.

Oskar.



Szanowny Panie Boże,

Dziękuję, że przyszedłeś.

Wybrałeś dobry moment, bo czułem się bardzo źle. Może zresztą obraziłeś się na mnie za wczorajszy list...

Kiedy się obudziłem, pomyślałem, że mam dziewięćdziesiąt lat i obróciłem głowę w stronę okna, żeby popatrzeć na śnieg.

I wtedy poczułem, że przychodzisz. Był ranek. Byłem sam jeden na ziemi. Było tak wcześnie, że ptaki jeszcze spały, i nawet pielęgniarka z nocnej zmiany, pani Ducru, musiała sobie kimnąć, Ty jednak próbowałeś stworzyć świat. Ciężko Ci szło, ale nie dawałeś za wygraną. Niebo stawało się coraz bledsze. Nasycaliś powietrze bielą, szarością, błękitem, odpychałeś noc, wskrzeszałeś świat. Bez wytchnienia. Wtedy zrozumiałem, czym się różnimy: Ty jesteś niezmordowany! Nie wiesz, co to zmęczenie. Pracujesz na okrągło.

Dzień, proszę bardzo! Noc! Wiosna! Zima! Peggy Blue! Oskar! Ciocia Róża! Masz zdrowie!

Zrozumiałem, że jesteś obok. Że zdradzasz mi swój sekret: codziennie patrz na świat, jakbyś oglądał go po raz pierwszy.

Więc posłuchałem Twojej rady i pilnie wykonałem polecenie. Po raz pierwszy. Wpatrywałem się w światło, w kolory, drzewa, ptaki, zwierzęta. Czułem, jak powietrze wpada mi w nozdrza i sprawia, że oddycham. Słyszałem głosy rozbrzmiewające w korytarzu jak pod kopułą katedry. Czułem, że żyję. Drżałem z rozkoszy. Co za radość żyć. Byłem zachwycony.

Dziękuję Ci, Panie Boże, że to dla mnie zrobiłeś. Miałem wrażenie, że bierzesz mnie za rękę i wprowadzasz w sam środek tajemnicy, by zgłębiać tajemnicę. Dziękuję.

Do jutra, całusy, Oskar.

PS: Moje życzenie: mógłbyś zrobić to jeszcze raz dla moich rodziców? Ciocia Róża już pewnie wie. I może dla Peggy, jeśli starczy Ci czasu...

Szanowny Panie Boże,

Dzisiaj dobijam setki. Jak ciocia Róża. Dużo śpię, ale czuję się dobrze.

Próbowałem tłumaczyć rodzicom, że życie to taki dziwny prezent. Na początku się je przecenia: sądzi się, że dostało się życie wieczne. Potem się go nie docenia, uważa się, że jest do chrzanu, za krótkie, chciałoby się niemal je odrzucić. W końcu kojarzy się, że to nie był prezent, ale jedynie pożyczka. I próbuje się na nie zasłużyć. Ja, który mam sto lat, dobrze wiem, o czym mówię. Im bardziej się człowiek starzeje, tym większym smakiem musi się wykazać, żeby docenić życie. Musi być wyrafinowany, stać się po trosze artystą. Byle kretyn może cieszyć się życiem w wieku dziesięciu, dwudziestu lat, ale kiedy człowiek ma sto lat, kiedy już nie może się ruszać, musi uruchomić swoją inteligencję.

Nie wiem, czy ich na pewno przekonałem. Odwiedź ich. Dokończ dzieła. Ja jestem już trochę zmęczony.

Do jutra, całusy, Oskar.

Szanowny Panie Boże,

Sto dziesięć lat. To dużo. Chyba zaczynam umierać.  
Oskar.

Szanowny Panie Boże,

Chłopiec umarł.

Będę wciąż panią Różą, która odwiedza chore dzieci, ale nie będę już ciocią Różą. Byłam nią tylko dla Oskara.

Zgasł dzisiaj rano, w czasie półgodzinnej przerwy, kiedy z jego rodzicami poszliśmy napić się kawy. Zrobił to bez nas. Myślę, że czekał na tę chwilę, żeby nas oszczędzić. Jakby chciał, żebyśmy nie cierpieli, patrząc, jak odchodzi. To on w gruncie rzeczy nad nami czuwał.

Jest mi ciężko na sercu, Oskar w nim mieszka, nie mogę go wyrzucić. Muszę powstrzymać łzy aż do wieczora, nie chcę, aby mój ból konkurował z bezbrzeżną rozpaczą jego rodziców.

Dziękuję Ci, że dałeś mi poznać Oskara. Dzięki niemu byłam zabawna, wymyślałam legendy, znałam się nawet na zapasach. Dzięki niemu śmiałam się i przeżywałam radość. Bardzo mi pomógł w Ciebie wierzyć. Jestem przepełniona miłością, czuję, jak mnie pali, dał mi jej tyle, że starczy na wszystkie następne lata.

Do zobaczenia, ciocia Róża.

PS: Przez ostatnie trzy dni Oskar stawiał na szafce przy łóżku kartonik. Myślę, że to Ciebie dotyczy. Napisał na nim: „Tylko Bóg ma prawo mnie obudzić”.